

JESIENNE ZNALEPSISKO

B a b e t t e V e r s u s

Znaleziono mnie w parku. Pogrzebanego w pachnącej wczesną jesienią kupie klonowych liści. Wczesna jesień to ta, która łapczywie połknęła złotą kulę lata. Teraz wypchany światłem żołądek przenicowuje lato. Skurcze, kwas, skurcze. I pcha dalej ku jelitom. Światło jeszcze widoczne wśród liściastej treści, coraz słabsze jednak w jelicie października. Cienki flak listopada wije się, otwiera ciemną gębę jak polip i wsysa je ku wnętrzu. Robak jest syty. A po lecie zostaje jedynie ciepławy pierd w środku zimy.

Właściwie to mnie nie znaleziono. Włazł na mnie pies. Kurdupel z wyleniałym karkiem. Średniej wielkości miejski kundel w obślinionym kagańcu. Bydłę mojego pokroju.

„Kurwa, ale mam zakwasy!” Kiedyś miałem aspiracje i treningi. I raz brązowy medal w biegu przełajowym. Mógłby być ze mnie również niezły piłkarz, gdyby trener się nie zmienił. „Jesteś szybki, mały. Możesz być kiedyś wielki. Szybki jesteś, mały, w nogach i głowie. Pamiętaj, boisko to szachownica, tyle że są na niej wyłącznie zielone pola. No i nie ma królowej. Za to są korki. A poza tym wszystko jest identyczne. Rozumiesz, ma...”. „Fiuuut!” Gwizd gwizdka trenera zagłuszył „ły”. „Nawet go pszetrenera nie dotkłem”. Trener miał szósty zmysł i oczy z tyłu głowy. A frajer o szpiczastych łokciach miał przekichane.

Kocham psy. Bo są wierne. I ratują życie.
Pies miejski ma pańskie życie.

Czasem ciągnie za sobą pana albo panią. Na smyczy. Pan jest dobry. Często jednak pan stara się rozciągnąć czasoprzestrzeń psa miejskiego, czego wynikiem jest wiszący u tyłka psa balach. Ciągająca się w uwłaczającym rozkroku czasoprzestrzeń psa miejskiego nigdy nie może się spokojnie wypróżnić. A przecież próżnia jest podstawowym budulcem życia. Podobnie jak kompost i odchody. Bez gnijącej materii Absolut traci sens i formę, a torfowisko próżności zasycha. Prędzej czy później życie staje się smyczą bez pana i psa.

+

„Niech się pani nie przywiązuje do tego dziecka. To dziecko jest skazane na nieprzeżycie. Kurde, czy możesz sobie to wyobrazić? Jak ten palant mógł jej to powiedzieć?”

Pani psa, który chwilę później na mnie wlezie, z oburzeniem potrząsa głową z dłonią przytuloną do lewego ucha. Dłoń jak muszla. Ucho jak muszla. Głos w dłoni szepce przez zaciśnięte wata usta. „Kurba, mie bierzę. So za uj!”

Chirurgom gęby się nie zamykają przy stole operacyjnym. Myślę, że z ginekologami położnikami przy cesarce jest podobnie. Mają tak nudną pracę. Skóra. Ciach. Tkanka tłuszczowa. Pluff. „Tampon”. „Lexus jest niezły. Hybryda. Cichy”. Otrzewna. Zyg. Zag. Psit! „O, psiakrew!” Bzzz, bzzz. „Tak słucham”.

Nie wiem, ile już tu leżę. Zdrętwiałe palce u rąk i nóg wskazują na dobre nacięcie godzin bezruchu. W tym mniej więcej momencie znajduje mnie pies. Jak mówiłem, leżę twarzą w dół. Wdycham własny oddech z wczoraj i grzybiasty wyziew gleby. Ziemia jest naszą matką. Ziemia cuchnie zgnilizną. Ojciec mieszka w niebie i jest na ciągłym haju. Z zadyszką i zagwizdem, wydobywającym się z tchawicy pacjenta po tracheotomii, wciąga cirrostratusy. Linia za linią. Albo zaciąga się miękkim błękitem i odpływa. Psiamać, ojciec ma zawsze łatwiej. Ojciec nie mówi. Ma porażone fałdy głosowe. Tylko wybrani słyszą myśli ojca. Kocham psy. Kundel bije bezwładnym łbem o mój korpus. Jak praczka z obrazu Jules’a Bretona, tłucze mnie z każdej strony dyszącą kufą, niby kijanką. Canis katharsis kijankis canis pierze moje brudy na forum opustoszałego parku miejskiego. Właściwie, pies ma rację. Przez znaczną część mojego życia czułem się jak szmata. „Czułem się” wypowiedziane w czasie przeszłym ulgowym brzmi wyjątkowo dobrze.

Reguła numer 1. Zawsze mów o sobie w czasie przeszłym. Być może twój rozmówca nie zauważy, że nie masz przyszłości. Reguła numer 2. Tylko bez wulgaryzmów, prostaku. Reguła numer 3. Kurwa, zapomniałem.

„Co rozumie pan pod pojęciem szczęścia?” „A czy ja, do cholery, pytam pana, która godzina?”

Pies otacza mnie niemal niewidzialną siecią śliny. Kurde, ale się kleję. Tak musi się mieszkać poczwarcie w kokonie albo płodowi w matce. Ohyda. Byle dotrzeć do imago. Ktoś złożył moje jajeczko na dolnej blaszce liścia. Pamiętam regularny, jak mapa kraju zielony brzeg i unerwienie w formie rzeki głównej z dopływami, od których dostawałem niestrawności. A mówiła mama: „nie żryj celulozy”.

Nie pamiętam matki. Ani ojca zresztą. A teraz brakuje jeszcze tego, żeby mi urosły tęczowe skrzydła i żeby pani psa z zachwytem powiedziała do słuchawki: „O, poczekaj Misia, chwileczkę... motylek!” Czułbym się jak te wszystkie razem

wzięte pedały z Krakowskiego Przedmieścia. Łazi toto w różowej koszuli i obcisłych jeansach i myśli, że wszystko jest okej. Nic nie jest okej! Prawdziwy facet musi mieć jaja, a nie skrzydła! Kaganiec z rzemienia o ośmiu pajęczych odnogach i tułowiu w krzyż grecki wcina się kundlowi w zimny, mokry nos.

„Pusio! Pusio?” Pies podrywa łeb jak mechaniczna zabawka i wykonuje automatyczny zwrot całym tułowiem. Na odchodnym podnosi tylną łapę. Słyszę szelest słomkowego psiego moczu ciekącego po nogawce moich spodni. Strużka uryny ogrzewa niczym pierwszy, wiosenny promyk słońca. „Spierdalaj, sukinyńsynu”. Krzyczę w glebę, ale gleba to knebel.

„A, tu jesteś, mały. Aha, mmm no, tak, tak. To może jutro się widzimy. Jest nowa dostawa starych ciuchów w Bidździe”. Pani psa schyla się, by zaczepić karabińczyk smyczy o obrozę Pusia.

Co za napuszone imię dla wyleniałego mieszańca. Filigranowy, damski most zwodzony tułowia opada, skracając sylwetkę o mniej więcej połowę. Za to nogi w jasnobezowych pończochach optycznie zyskują jedną trzecią ich pierwotnej długości. „Fenomenalne!” Obserwuję to fantastyczne zjawisko z perspektywy obsikanej żaby, ukrytej w suchych liściach klonu.

„Ta suka ma lepsze szkitki niż Kate Moss”. Porównanie miałoby sens, gdyby Kate Moss była kobietą. Kate jest przecież kotką. O lśniącej sierści, lekkiej, jak jedwabna apaszka w płynie. Nigdy nie wiesz, czy nadal jest w pokoju, czy z niego właśnie wyszła. Aksamitne łapki Kate są bezszelestne. Kate pokłada się, gdzie popadnie, z kim popadnie. I zasypia. Wygląda wtedy jak szmatka. Etolka ze śladami szminki na podszewce. Zapomniana po balu noworocznym na skopanej z pasją stonogi skorupie w drobne, modrzewiowe klepki, podłogi sali restauracyjnej hotelu Primavera. Kate gapi się na ciebie zielonymi ślepiami o zarysie lekko zadziwionych migdałów.

Na obrzeżu podkręconych kącików jadeitu przycupnęło coś, jakby uśmiech. Nieważka parasolka z nasionkami mlecza zawisła na moment, szepnęła enigmatycznie *je baise à tout vent* i popłynęła dalej. Nie wiem, czy Kate umie czytać. Czy rozróżnia litery z daszkiem od tych z kropeczką?

Czy docenia suspens w norweskiej powieści policyjnej? Czy wie, że śnieg ma sto kolorów i dźwięków? Że nad ranem może pociąć ci łydki jak brzytwa, gdy próbujesz dotrzeć do domu przez zamarznęty ogród. Śnieg potrafi ugotować twoje błękitne do bólu palce, gdy sięgasz w zaspę po zamarznęłą rękawiczkę. „Gustav, co ty właściwie robisz bez gaci w ogrodzie, nad ranem? Łowię rękawiczki z przerębla!”

Czy Kate wie, kto zabił?

+

Kate z pewnością umie patrzeć. Wnikliwie wpatruje się w twoje nicnienie. I milczy. „Jak robi kot?” Kot robi: miiijał. Kate nie wydaje dźwięków ani nie mówi. Czasami dolna część różowej paszczki w podkówkę opada, wypuszczając kulczkę bawełnianej ciszy.

Park opustoszał kompletnie. Z oddali dochodzi stukot damskich butów na obcasach. Po asfalcie.

To zawsze dobry znak. To znaczy, że nie wszyscy utopili się w sobotnią noc. Trupy butelek, które zamarły w szklanym wzwodzie, są suche. Ani kropli żywicy w szklanych penisach.

Aluminiowe szczątki popiwe z odbezpieczonymi zawleczkami dzwonią głucho, przetaczając się do rynsztoka za każdym razem, gdy oś kuli ziemskiej zmienia kąt nachylenia. Niewypały słodowe. 5,5%. Pasteryzowane.

Wsluchuję się w stukot damskich szpilek. Lubię ten rytmiczny, natrętny dźwięk. I wali mnie, czy kobieta ma czterdziesty czwarty rozmiar buta, smolisty tusz wokół oczu, czarno granatowy, trzycentymetrowy odrost na jej blond pakułach i nieogolone łydki. Ten stukot budzi we mnie nadzieję, że wszystko może jeszcze się dobrze skończyć. Lewe tik, prawe tak. Biodra kołyszą się jak łajba. Ulica objaja się z pluskiem o jej burtę. Lewa burta. Prawa burta. Tik. Tak. Kobieta na szpilkach odlicza czas. Teraz oddała się. Ale wróci.

ORDOLFINKA

Babette Versus

Kobiety i torebki. Torby. Torbiele. Torbiachy. Torbicielki.

Na każdym zdjęciu modnej dziewczyny na necie widnieje przede wszystkim jej torba. Torebsko zawieszona na zgiętej, ledwożywej protezie przedramienia modnej dziewczyny ma się wyśmienicie. Ślicznotki w ciuchach z marzeń sieciowych i z sieciówek marzeń eksponują worczydła z dumą. Uczepione torbiszcza niczym świętego atrybutu. Święta Parisminlis od Torby. Błogosławiona Tartakonkrema od Torbiszcza. Nadęta Szeryszerybaja od Kopertuchy. Dziewczyny mają bardzo kreatywne imiona i obleśne torby. Czyżby zrośnięte były ze sobą uszami z ekoskóry i naskórkiem i nie umiały istnieć poza kontekstem komsalitorbstwa? Co je łączy w sposób tak ścisły? Zewnętrzności? Wnętrznosci?

Co kryje się we wnętrzu damskiej torebki? Jama. Ciemność. Intymność. Torebka damska fascynuje. Męska śmieszy. Damska to symbol życia.

Jama. Ciemność. Intymność. Męska śmieszy. Przecież nie wypada prawdziwemu facetowi nosić fallusa jak ordynarnej torby na listy, na pasku przecinającym w poprzek owłosioną, męską klatę? Nie dynda się w towarzystwie ulicy penisem na łańcuszku. Jedynie aktówka i plecak nie posiadają konotacji seksualnej i nie czynią z faceta pośmiewiska.

Nasze umysły są takie otorbiate! Zamknięte na zamki błyskawiczne. Posiadają wiele funkcjonalnych kieszonek na archetypy, pojęcia błędnie zdefiniowane, truizmy i ołowiane spławiki. Wybaczcie, ale z takim spławikiem niewiele wyłowimy z czeluści myśli posprzątaných.

Miałam kiedyś ulubioną torebkę. Jedyną w swoim rodzaju. Pamiętam ją do +

dziś. Dziadek z babcią znów wrócili z wakacji z dalekich krajów. Przez Chyżne.

Renault Dauphine, nazywane czule przez dziadka Dolfinką, zaparkowane przed domem, było z tego powodu nieco zadyszane i puszczało parę spod maski. Dolfinka była mlecznoróżowa i obła. Pod dotykiem dłoni dziadka, głaszczącej jej powierzchowność z dużą dozą nieukrywanej namiętności i podziwu, prężyła się i zastygała w błogim bezruchu, na podobieństwo głaskanej kotki. Tyle że nie miauczała. Skrzypiała cichutko zmachanymi amortyzatorami. „Jak tylko wrócimy do warsztatu, wyszoruję ci błotniki, uzupełnię, kochanie, olej i płyn hamulcowy, przedmucham gaźniczki, dopompuję oponki...”.

Niektórzy faceci mają dwutaktowy stosunek do samochodu i kompletnie nietaktowny stosunek do własnej żony.

Życie babci, od kiedy porzuciła pracę w teatrze, toczyło się wokół garów. Była ładna i miała piękny głos, ale nie była aktorką. Jej sopran był dźwięczny jak górski strumień. I miała urzekający groszek, zwłaszcza przy końcu frazy. Od groszku w sopranie do boczków w grochówce droga okazała się krótką przyśpiewką na przełaj. Babcia często śpiewała piosenki do schabowego, kiedy pokrywał się 24-karatowym złotem panierki na patelni. Brzmiały czule dźwięki garom na pocieszenie. Podobno pewien naukowiec w Japonii śpiewał do dwóch słoików z ryżem. Do jednego ładnie, z groszkiem, a do drugiego durne przyśpiewki biesiadne i wokalizy typu *fraught flux*, przypadkowo znane publiczności niedouków muzycznych i fanów popu, jakimi wszyscy jesteśmy, wyłącznie z wykonania skrzeczącej prymordialnie Yoko Ono.

Ryż w pierwszym słoju zachował świeżość przez cały czas trwania eksperymentu. Ryż w drugim słoju nie wytrzymał długo. Pękł psychicznie, a sój się rozbił. Samobójstwo słoja nie zostało zapisane w oficjalnym raporcie, mimo że nikt w laboratorium nie miał co do niego wątpliwości. Samobójstwa to odwieczna tradycja i wielka tragedia w Japonii. Jednym słojem, ryż z rozpaczony wpadł pod stół, rozsypał się kompletnie, porzygał i udusił własnymi wymiocinami. Podobnie jak Bon Scott, Jimi Hendrix lub Anna Nicole Smith, tylko że po japońsku. Chissokushił się we własnych toshutsu.

„Mój miły, nie bądź tak srogi, bo serce mdleje mi z trwogi. Czemu się miły smucisz? Ach, ucisz serce swe, ucisz”.

Sztabka świńskiego złota, młode kartofle z koperkiem i mizeria ze śmietaną od gaździny z Kościeliska lądowały na talerzu, gdy ostatni kuplet Ordonki przekształcał się w dyskretne mruczando na „mmmmmmmm”.

Dziadek, głaszcząc karoserię renówki stojącej pochyło, bocznymi kołami na trotuarze przed domem, z pewnością wizualizował biodra Marilyn M. stojącej krzywo, jedną nogą na trotuarze, a drugą na rozpływającym się od sierpniowej

kanikuły asfalcie jednej z głównych ulic Zakopanego. A może nawet wyobrażał sobie jej biust, gdy mijała go pani Bachledowa? Sąsiadka z naprzeciwka posiadała fenomenalny okaz podhalańskiego cyca górskiego. Gdy spała na wznak przy boku swego męża, mąż widział jak na dłoni Dolinę Kościeliską, Sarnie Skalki, a czasami nawet Wysokie Tatry.

Nie wiem dokładnie, jaki był ideał kobiety mojego dziadka. Patrząc na babcię, a raczej na jej wczesne zdjęcia w albumie rodzinnym, gust miał niezły. Była średniego wzrostu szatynką o miedzianej skórze, piwnych oczach i kształtnych łydkach. Urodzona w Warszawie. Posiadała futro z norek, rulony dolarów na czarną godzinę (mówiliśmy w domu: „na czarną gaździnę”) wetknięte w słoik po powidłach śliwkowych, złotą Doxę, sznur pereł naturalnych i niezliczone komplety bluzek i spódnic z jedwabiu. Prawie wszystkie jej autorstwa. Babcia była kiedyś jedną z lepszych krawcowych i szwaczek w teatrze.

Dziadek był autentycznym kobieciarzem i prawdziwym *afficionado* sportów motorowych. Potrafił naprawić każdego rzęcha za pomocą damskiej pończochy nylonowej, tępego kozika i klucza francuskiego. Oraz w przypadkach beznadziejnych za pomocą młotka i majzla. Grał niezłe na gitarze, śpiewał rosyjskie romanse, jednocześnie zalewając się łzami i dolewając sobie gorzałkę do kieliszka, oraz świetnie pływał *à la Cosaque*. Podobno nauczył się tej nierozpowszechnionej techniki w dzieciństwie spędzonym nad Dnieprem. Urodził się na Kresach, jak zresztą większość porządnych ludzi w tamtych czasach, z Wańkowiczem na czele. Za każdym razem, gdy czytam *Szczenięce lata*, wyobrażam sobie mojego dziadka, gdy nie był jeszcze kobieciarzem żywiącym się złotymi schabowymi babci. Widzę go biegającego po łąkach pstrokatych w kwiaty polne „w skórze”, jak skacze z piaszczystej skarpy na główkę do rzeki i przepływa na drugi brzeg, posługując się jednym tylko ramieniem jako napędem, drugie trzymając wyprostowane przed sobą.

Po dziadku pozostało mi niewiele pamiątek. Samochody zostały sprzedane, warsztat i narzędzia również. Po babci prawie nic nie zostało, poza żeliwnymi rondlami i łyżeczką do konfitur o ciekawej formie półksiężyca. Babcia traciła stopniowo kontakt z rzeczywistością przez wiele lat, zanim Ordonka wpadła po nią wreszcie i mogły dośpiewać ostatni kuplet na dwa głosy.

W szufladzie mojego biurka trzymam małą, szaro-szarą fotografię.

Widnieje na niej dziadek, w eleganckim, trzyczęściowym garniturze, w otoczeniu dziesiątek kobiet. Stoi wyprostowany za przykrytym sukniem, długim stołem konferencyjnym. Sukno jest z pewnością czerwone, jak ustrój epoki, w której zrobiono zdjęcie. Za dziadkiem wije się jak liana dostojna, biało-czerwona draperia w dwóch odcieniach szarości. Na niej orzeł bez korony w gnieździe z szaro-krwistych goździków. Na sali siedzą wyłącznie kobiety w kwiecistych kieckach i natapirowanych kokach. Wpatrzone w dziadka jak w święty obra- +

zek. Na ich twarzach maluje się zachwyt i pożądanie. Patrzyć z pożądaniem i zachwytem na święty obrazek? Tylko kobiety w kwiecistych kieckach, szpiczastych pantofelkach ze sprzączką, trzymające na kolanach dyskretne torebki, tak potrafią. Na ścianie za dziadkiem wisi naturalnej wielkości slogan z wyciętych w styropianie liter. Wielki, jak wielkie niesie przesłanie. „Kobiety mogą, a nawet powinny uratować świat przed zagładą atomową”. Pstryk. Krzesła szurnęły po podłodze, imitując werbel. Żeńska publiczność zerwała się z miejsc. Dziadek rozpromieniony, gdy tony goździkowych wiechci lądowały w jego ramionach, z trudem ukrywał fenomenalny wzwód pod połami marynarki zapiętej na wszystkie trzy guziki. Pstryk. Dyskretna smienka panny siedzącej w pierwszym rzędzie, o bujnych, jasnych lokach i pięknym uśmiechu, uwieczniła scenę na szaro-szarej kliszy.

Kobiety raz jeszcze uratowały świat przed zagładą.

Owego gorącego, letniego dnia auto dziadka wypełnione było po brzegi niesamowitymi łupami. Ostra, suszona węgierska papryka, tajemnicze fiolki w malowanej, drewnianej skorupce, pachnące różą ze Starej Zagory, aż do omdlenia. Dorodne słoneczniki bez płatków, ciężkie od czarnych ziaren, naznaczonych białą pręgą jak przedziałkiem. Oraz warkocze czosnku rumuńskiego. Wdychałam zapachy, naraz i osobno, tworząc mentalnie doskonały akord aromatyczny. Róża zawsze trafiała na miejsce nuty serca. Czosnek na nutę podstawy. „Mogłyby się nazywać Ordonka albo Dolfinka” – pomyślałam, gdy nagle babcia kazała mi otworzyć i zamknąć, i potem znów otworzyć oczy. W moich dłoniach wylądował przedziwnego uroku ciężki motyl. Otworzyłam oczy i ujrzałam cudo! Misterne kwiatuszki z zamszu na ślicznej torebki o kształcie puzderka, zamkniętego na „pstryk i wypstryk”. Musiałam koniecznie ją powąchać. Węgierska papryka... zamsz... bułgarska róża... rumuński czosnek... benzyna. „Ordolfin-ka!” Nosłam ją wszędzie i ciągle. Wkrótce kwiatki poodpadały, a zamsz nabrał aspektu zjełczałej stearyny.

To była moja ulubiona torebka. Obecnie nie posiadam żadnej. Chodzę z powypychanymi kieszeniami, noszę laptopy pod pachą, a siaty w dłoni, jak przystało na słowiańską westalkę.

Bądźcie płodni i mnożcie się, abyście skopali ziemię milionami stóp prawych i lewych, aż zawyje z bólu jak opętana, stara Indianka przed zgliszami tipi

Babette Versus

Powielamy się i niechętnie dzielimy. Częściej stąpamy po ziemi prawą nogą. Z tego powodu kręcimy się w kółko i koniec końców, tak czy siak, zawsze znajdujemy się w punkcie wyjścia. Stajemy przed lustrami i przystrajamy się do ceremonii duplikacji. Tworzymy klony. Owulujemy. Siejemy ziarenka. Pryskamy feromonami. Łapiemy okazję. Ejakulujemy. Kopiujemy, kopulując radośnie. Radośnie?

Kiedyś chciałam mieć dziecko. Własne, okrągłe i miękkie.
Do przytulania. Mogłoby pachnieć zielonymi jabłkami, które wczesnym latem spadają z jabłoni, nie wiedząc, co będzie dalej.
„Jestem jabłkiem, co zaraz spadnie.
Czy umrę, zanim dotknę ziemi?
Czy żyć będę, tocząc się w trawie?”

+

Wolałabym, żeby moje dziecko pachniało mąką i orzechami laskowymi. Byłoby wtedy zdrowe jak bochenek żytniego chleba na zakwasie. Położyłabym je na koronkowej, bawełnianej serwecie pośrodku solidnego, dębowego stołu w mojej prowansalskiej kuchni. Przez okno wpadałyby ciepłe, złociste promienie słońca. Dziecko drzemałoby w ciszy i spokoju. Opodal, na kamiennej posadzce spałby stary kot i stałby wilkinowy kosz z warzywami, które właśnie przyniosłabym z ogrodu. „Piękne pomidory mamy tego roku” – powiedziałabym do dziecka śpiącego snem makówki. To z pewnością dlatego, że opryskałam je matczynym mlekiem zawczasu. Ani jednej mszycy. Cukinie za to zawsze się udają bez większego trudu. Co roku pęcznią bezmyślnie u nasady kielichowatego, żółtego kwiatu, leżącego leniwie w trawie. Kolejny sezon nie plewię grządki zielonych głuptasów. I tak rosną bez umiaru, nic nie wiedząc o gwiazdach, bezsensie życia i sensie umierania. Kończą w ciężkim, emaliowanym rondlu, usztywnione ryżowym farszem zamiast kręgosłupa i taplają się nierozumnie w ciepłym sosie własnym do końca.

Moje dziecko byłoby dobre. Karmiłoby mnie wypieczoną, postempiryczną skórką i mięszem mądrości z czasów, które sięgają początków i końca świata. Przecież po to właśnie robimy dzieci. Żeby wgryźć się w piętę wszechwiedzącego chleba, pociumkać mięsz, aż stanie się słodszy niż miód. Rozsiąść się przy suto zastawionym stole. Jeść bez umiaru. Trawić, trawić, zasnąć, śnić. Rozkraczyć się nad czasem w pełnym szpagacie. Jak prebioniczna gimnastyczka rumuńska, antycyberpływaczka enerdowska, antracytowa chmura gradowa, pandemokracja naftowa, ledowa żarówka wiekuista, most zwodzony nad mgławicami. Sięgnąć nieskończoności. Poczucie wiatr pod skrzydłami.

Latam często niewygodnymi boeingami 737 mojego, ulubionego z braku laku, przewoźnika Paupair. Tani, bez udogodnień, ale zawsze dolatujący na czas. Lata się z Paupair jak w brzuchu włączonego telewizora. Kanały wariują, zmieniając się same, i nikt nie wie, gdzie jest pilot. Teraz leci blok reklamowy. Dźwięczny głos damski zachwala papierosy bez dymu. Dym bez ognia. Perfumy, bilety autokarowe do centrum za małe pieniądze i losy zdrap&zdrap&zdrap do skutku, dzięki zakupowi których wspierasz fundacje ratujące dzieci, w naszym kraju i poza jego granicami. Zaraz wjadą potrawy odgrzewane. To chyba już program kulinarny.

Kolejka starych wyg napowietrznych zwykle ustawia się do wyjścia z gejtetu na pół godziny przed czasem i na dany sygnał energicznie wskakuje do autobusu podwożącego nas pod wąskokadłubowego pterodaktyla średniego zasięgu. Przez szyby autobusu obserwuję, jak z otworu leżącego tuż przy dziobie wypęta jęzor. Drugi, nieco większy, chwilę potem podjeżdża od zady. Chmura pasażerów, ciężka jak cumulus zapowiadający opady, bezpardonowo wspina się po pierwszym jęzorze do drzwi, po czym wyczynowym biegiem pokonuje zaledwie

kilka metrów wąskiego korytarza, jakie dzielą ją od sześciu najwygodniejszych miejsc w samolocie. Trzydzieści dziewięć metrów i zaledwie sześć miejsc godnych sprintu! Na skrzydłach.

Reszta nieudaczników siada, gdzie popadnie. Przez resztę lotu masuje odrętwiałe kolana, wdychając wyziewy latającej kuchni i wsłuchując się w odgłosy dobiegające z toalety.

Raz, za namową wybrednego współpodróżnika, wygrałam drugie miejsce w biegu o fotel z dodatkową przestrzenią na rozprostowanie nóg. Wygodnie, nie powiem. Od razu czuje się przedsmak sofistykacji pierwszej klasy. Stewardesy zakończyły choreografię *Staying alive just a little bit longer* pełnym uśmiechem i zapięliśmy pasy. Mogliśmy nareszcie przejść do fazy lotu właściwego.

„Dis iz jor responsibility tu olpen dis dor tu seju de pasandzers. Ju anderstand? Ju mast pul de trigger. Aler lajf dipend on ju”. Stewardesa uczepiła się zagłówka mojego fotela dłonią o perfekcyjnie utrzymanych tipsach. Nachylona nade mną, przypominała drapieżne ptaszysko, trzymające w szponach grzbiet pełnego gryzonia, mającego chaotycznie łapkami w panice i powietrzu.

„Coś nie tak, myszko? Przecież to twoja, jedyna i ostatnia szansa spełnienia marzeń. Wszystkie nieloty śnią o lataniu”.

Prześwietlała mnie wzrokiem na wskroś, niczym promieniami rentgenowskimi. Widziała mnie od środka naga, różowokrwistą. Pomiędzy żebrami prześwitywała mi autentyczna niepewność i szczerze zakłopotanie. Mimo to cięła moją skórę niewidzialnym, laserowym biczem osadzonym na nierdzewnej rękojeści. Wskazywała palcem na coś, co miało się znajdować po mojej prawej stronie, w ścianie samolotu. Jak to maj responsibility? Jaki trigger? „Ju min, łindol?” – zapytałam grzecznie, wypluwając powybijane szponiastą łapą przednie zęby na chusteczkę higieniczną i dyskretnie wsuwając ją do kieszeni modnego w tym sezonie żakietu w deseń kalejdoskopicznie symetryczny do oczopląsu. – Nie window, tylko emerdzency egzyt, ty faszonowa debilko.

Byłam pewna, że właśnie to jasne jakszlag zdanie wycedziły zaciśnięte usta stewardesy, wymachującej siejącym śmierć i strach przed śmiercią błękitnym biczem. Zawsze to samo. Pchają się na oślep na skrzydła, a potem woda w gębę, dzizys...

Latać. Fruwać. Wznieść się nad przeciętność.

I opaść z deszczem na ziemię, pozwalając rosnać lasom tropikalnym. Żebyśmy mogli pociąć stuletnie drzewa na równe deski. Zbudować sobie taras. Usiąść wygodnie w fotelu z iroko, teaku, bangkirai lub merbau. I podziwiać ogródek ze stojącą pod jabłonią piaskownicą w kształcie plastikowego żółwia, w której zasadzamy dziecko jak marchew. Marchew rośnie prosta i piękna wyłącznie w piachu. Żółw jest odwiecznym strażnikiem dziecka. +

„Hoduję marchwiowe dziecko. Dokonałam najważniejszego odkrycia w historii cywilizacji ziemskich. Pchnęłam technologię przetrwania o miliony lat świetlnych w przód. Wzięłam w cugi kultury prostacką naturę. Hoduję w piachu, więc jestem. Przede mną nikt na to nie wpadł. Po mnie nikt i nic się nie liczy”.

Dziecko upiększa mój ogródek i wypełnia sensem moje życie. Niweluje efekty depresji dwubiegunowej. Jest organicznie rozkładalne i nie zatuwa wód gruntowych. No, chyba nie zatuwa. Nigdy nie możemy do końca wierzyć etykietom na produktach w sklepach ze zdrową żywnością. Ostatnia dyskusja o przepiórczych jajach powaliła mnie na kolana i do dziś chodzę w kucki przed witryną sklepiku Gaya, mieszczącego się przy eleganckim bulwarze w centrum miasta. „Nie mamy jajek. Bo nie mamy. Za to mamy soczki z Ameryki Południowej, owoce z Afryki Zachodniej i pestki z dyni ze Słowacji”. A przepiórki? Co przepiórki? Wszyscy mają w nosie przepiórki i krew przepiórek na dłoniach. Nikt z nas nie wie, że przepiórki spędzają całe swoje życie w zamknięciu i niewoli. Znoszą w więzieniu zdrowe, pstrokate jajeczka, którymi karmimy dziecko. Przepiórki wpatrzone w błękit nieba nie wiedzą, dlaczego samoloty latają, i nie mają pojęcia, że w samolotach siedzą z wyprostowanymi giczołami fashionistki, od których zależy przeżycie prawie dwustu naraz, niewinnych nielotów. Dziecko jest dowodem osobistym na „kupuj odpowiedzialnie”. Każdy, kto posiada dziecko, wie, czym jest dobro, i nie czyni zła.

No, już dobrze, dobrze. Przypuśćmy, że niektórym wychodzi średnio robienie, hodowanie i wypuszczanie na wolność dzieci. Jesteśmy tylko ludźmi. Doskonałymi twórcami kreacji. Możemy się czasem mylić, błędzić po omacku, dać się wciągnąć bagnu ignorancji po pachy, ale jeśli już mamy dziecko pod ręką, możemy się nim posłużyć do wyostrenia obrazu świata. W najbardziej beznadziejnej sytuacji możemy sobie jakoś pomóc, nieprawdaż? By lepiej zrozumieć geopolityczny układ scalony, wystarczy spojrzeć na świat przez dziecko przezroczyste i dwuwypukłe. Wszystko staje się wtedy proste i aż kłuje w oczy. Największą frajdę mają ci, którzy posiadają dziecko przyzmatyczne, rozszczepiające światło białe na obłądne kolory. Wtedy jest dopiero pięknie. Kolorowo i wesoło. Ale pieniędzy mało. Dziecko półprzezroczyste, uwaga, dopuszczam możliwość zastosowania dziecka nieprzepuszczalnego i matowego, przydatne jest w przypadkach niepewnych inwestycji, w kontekście przetargów z licytacją oraz kompleksowych szantażach. Tak czy inaczej, z popłakiwaniem czy bez, trzeba się ociupinę znać na marketingu i zarządzaniu, żeby coś z tego wyszło. „Przecież robię to wszystko wyłącznie dla ciebie, ty niewdzięczny bachorze. Wykapany ojciec. Nie, nie chcę o tym teraz rozmawiać. W coś cię ubrać trzeba i napchać ten wiecznie pusty brzuszeczek”. Pierwsze słowo, jakiego uczy się dziecko, to „nie!”. Mama mówi „nie”. Tata mówi „nie”. Babcia mówi „nmię”

na wydechu, przytrzymując wargami niedopasowaną, sztuczną szczękę w równie niedopasowanym uśmiechu. Dziadzio nie żyje. Dziecko mówi bez zrozumienia „nienienienienie” albo, jeśli jest chłopcem, jeszcze nie mówi. Życie dziecka toczy się wokół prostych funkcji fizjologicznych. Amam, kaka, pipi i całuski. Miłość macierzyńska zamknięta jest w słoiczku na hermetyczną pokrywkę. Służy do karmienia dziecka. Wypełnia Okrągłemu Łebkowi usta papką o słodko-słonym smaku. Brzuszek napina się. „Kupkę?” „Siusiu?”. Za późno, mamusiu. Masz dwa w jednym. Guano na pampersie. Serce matki. Purée z marchwi.

Dziś moje dziecko byłoby starsze ode mnie. Nie rozpoznałoby mojej twarzy w tłumie, nie pamiętałoby już smaku mojego mleka. Nie mogłoby sobie przypomnieć, czy byłam dobrą, czy złą matką. Ja i tak wiem, że gdybym je miała, zrobiłabym swoje. Wychowałabym je na autorytarnego egoistę. Na zadbaną, sprzedajną dziwkę. Myślę, że byłoby szczęśliwe.